

O takiej roli marzą aktorki

Rozmowa z TERESĄ SAWICKĄ

JUŻ SAM fakt, że „Anna Livia” Macieja Słomczyńskiego jest spektaklem opartym na fragmentach „Ulissesa” oraz „Finnegens Wake” Jamesa Joyce’a, spowodował ogromne zainteresowanie ostatnią premierą wrocławskiego Teatru Współczesnego, zainteresowanie wybiegające daleko poza środowisko wrocławskie. Tytułową rolę w „Annie Livii” gra Teresa Sawicka, młoda aktorka, nie znana bliżej wrocławskiej publiczności, choć w ciągu zaledwie trzech lat pracy na scenach warszawskich odnotowała na swoim koncie kilka prawdziwych sukcesów. Warto przedstawić.

— Tym bodajże największym sukcesem była Niemiecka Dziewczyna w „Kartotece” Różewicza?

— To moja ulubiona rola i rzeczywiście zebrałam za nią sporo pochwał. A muszę przyznać, że podjęcie jej było zadaniem bardzo trudnym. Grałam tam dziewczynę, do której w ogóle nie dochodzą tragiczne w swojej wymowie fakty i obrazy przekazywane na scenie przez Wojciecha Siemiona. Np. słowo „wojna” wzbudza w mojej bohaterce kaskadę śmiechu. Jedną z opinii, która sprawiła mi ogromną satysfakcję, była ocena dyrektora budapeszteńskiego Teatru 25, który stwierdził, że żadna wielka aktor-



Fot. Teresa Szczęsna

wierdził, że żadna wielka aktorka węgierska nie stworzyła w teatrze kreacji, w której by śmiech przyniósł tak szczerze. Dodam, że w „Kartotece” śmieję się na scenie około 15 minut.

— Zanim zagrałaś w „Kartotece” czy w „Białym małżeństwie” w warszawskim Teatrze Małym, miałaś za sobą szereg ról w Teatrze Narodowym. Już samo zaangażowanie do tego zespołu jest dla młodej aktorki swego rodzaju nobilitacją.

— Z tym angażem wiąże się dość zabawna historia. Tuż po ukończeniu szkoły teatralnej otrzymałam od Hanuszkiewicza propozycję nagłego zastępstwa w „Hamlecie”. Miałam zagrać Królową-Aktorkę, a na nauczenie się tekstu (m. in. dość długiego monologu) pozostała mi zaledwie jedna noc. Oczywiście z radością przyjąłam propozycję, wykułam tekst i znalazłam się na scenie — po raz pierwszy przed prawdziwą publicznością, w otoczeniu takich gwiazd, jak Kucówna czy Dmochowski, z Hanuszkiewiczem obserwującą z za kulis mój debiut. No i zapomniałam tekstu. Dokończyłam go już własną, improwowaną prozą. Dość smętnie schodziłam ze sceny. Przekonana, że Narodowy „mam z głowy”, w kilka sekund pogodziłam się z wyjazdem do Opola, pocieszając się, że teatr nie kończy się przecież na Warszawie. Tymczasem Hanuszkiewicz jeszcze tego samego wieczoru zaproponował mi główną rolę w „Kochankach piekła” Rymkiewicza. Do „Hamleta” weszłam na stałe, a później już jak z rękawa sypały się zastępstwa: Marynia w „Weselu”, Muza w „Beniowski”...

— Co z okresu tych pierwszych kroków na scenie pozostało dla Ciebie największym przeżyciem?

— Wszystko było wielkim przeżyciem. Miałam dużo szczęścia, dostając się do zespołu tak świetnych twórców teatralnych. Współpraca z Hanuszkiewiczem, Mincem czy Siemionem dała mi nieprawdopodobnie dużo. No i pierwsza recenzja! Bardzo pochlebnie wypowiedział się o mnie na łamach „Życia Warszawy” August Grodzicki. To było wielkie przeżycie, chociaż później za tę samą rolę w „Kochankach piekła” zebrałam bity od Witolda Fillera...

— Co myślisz o „Annie Livii”?

— Zafascynował mnie sam tekst, pełen neologizmów, pozornie niezrozumiały, ale przecież komunikatywny, bardzo nośny. Wydaje mi się, że nawet średnio przygotowany widz zrozumie jego istotę. Składa się na to praca wielu ludzi. Reżyseria Kazimierza Brauna, piękna muzyka Karneckiego i świetna scenografia Zofii de Inez-Lewczuk jakoś wydają bardzo trudną chwilami treść. Dostałam w tym spektaklu rolę, o jakiej marzą aktorki. Nje dziwne, że propozycja Teatru Współczesnego mnie zachwycała. Bo przecież tak naprawdę w teatrze jest niewiele ról dla kobiet. To, co mądre

o świecie, życiu, wypowiadają na scenie mężczyźni, a kobiety na ogół są dla nich tłem. Zupełnie inaczej w „Annie Livii”. To przedstawienie jest poematem o pierwiastku kobiecym w jednym rodzaju. Moja bohaterka to nie jedna kobieta, lecz raczej kwintesencja kobiecości. Anna Livia jest jednocześnie matką, anielską dziewczyną i dziwką. Raz jest głupia, raz bardzo mądra, co niesie z sobą cały wachlarz możliwości aktorskich. To wymarzona rola.

— Tak bardzo wymarzona, że nie przeraził Cię wyjazd z Warszawy na prowincję?

— O nie, Wrocław to przede wszystkim nie prowincja, zwłaszcza w dziedzinie teatru! Ja Wrocław naprawdę lubię, to dla mnie bardzo szczęśliwe miasto. Spotkałam tu znakomitych ludzi, z którymi gdzie indziej może w ogóle bym się nie zetknęła. Poza tym z dużą sympatią przyjęto mnie w zespole Teatru Współczesnego, co w naszej pracy jest szalenie ważne.

— Co uważasz za najtrudniejsze w swojej pracy? Może to szalone tempo przedpremierowe, niekończące się próby? W końcu nigdy nie jesteś pewna, czy to, co kosztuje Cię tyle wysiłku, skończy się powodzeniem...

— To się wie. Najbardziej męczący jest pierwszy okres pracy nad sztuką, etap poszukiwania odpowiedzi na pytanie, jak to zagrać. Trzeba dotrzeć do własnego wnętrza. Początkowo w „Annie Livii” nie rozumiałam chwilami całych wypowiedzianych przez siebie zwrotów. Ale odnajdowałam je we własnych przeżyciach, za pomocą przeróżnych skojarzeń szukałam w sobie właściwej interpretacji, wreszcie ją znalazłam. Może ktoś się z nią nie zgodzi, ale jest prawdziwa, a to już nie jest tak „ciemno”. Musi występować, jeśli dotarłam do swego wnętrza. Wtedy tempo przed premierą jest męczące fizycznie, wtedy chodzi już tylko o sprawy techniczne.

— Co zamierzasz w najbliższej przyszłości?

— Wkrótce telewizywnie będą mieli okazję zobaczyć mnie w Teatrze Telewizji w sztuce „Kto daje”, gdzie partneruję Bożenie Dykiel, Janowi Englertowi i Zdzisławowi Weinertowi. Przyjąłam też propozycję Wojciecha Siemiona i zabrałam się do przygotowywania adaptacji „Kubusia Puchatka”. Prawda, że to zachwycająco wdzięczna rzecz? No i film. Bardzo chciałabym zagrać w filmie. Dotychczas zrobiłam kilka epizodów, dwa razy nawet byłam o krok od głównej roli. Może uda się tym razem, bo właśnie jestem po próbnych zdjęciach do nowego filmu Wajdy.

— Trzymam kciuki i dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała
WANDA TUSTANOWSKA